

KATOLIK.

wychodzi w każdy Czwartek.

ABONAMENT:

W Milwaukee za rok cały...\$1.50
Numer pojedynczy.....3c
W innych krajach.....2.00
Wszelkie listy i korespondenoye
adresować należy:

Prof. JOHN KUK,
Cor. Lincoln i 1. Ave.

MILWAUKEE, WISCONSIN.

Wydawca: Ks. W. GRUTZA.

Entered at the Milwaukee P. O. as
second class mail matter.

ADVERTISING RATES:

Space	Week	Mo.	3 mo.	6 mo.	1 yr.
1 inch	\$1.25	\$2.50	\$5.00	\$10.00	
2 inch	1.50	3.75	6.25	12.00	20.00
3 inch	1.50	3.75	6.25	12.00	20.00
1/2 col.	2.50	5.50	10.00	20.00	30.00
3/4 col.	4.50	12.00	18.00	30.00	50.00
1 col.	7.00	20.00	30.00	40.00	100.00

Katolicyzm pachnie heretykom i arcy- kacerzom.

Dziwne zaiste zjawisko społeczne nasuwa mimo woli przypuszczenie, że wszystkim dzisiejszym bezwyznaniowcom, ateuszom, kacerzom i heretykom przypada do gustu nazywanie się mianem katolickim i przywłaszczanie sobie tej nazwy, podczas gdy za-temu z raczywistemu katolikami nigdy jeszcze przez myśl nie przeszło, podszywać się pod miano jakiegokolwiek innej sekty religijnej. Jest to oczywiście dowodem, że coraz więcej mamy tak zwanych "katolików z imienia", którzy radziby żyć heretykami pod nazwą katolików. Ta okoliczność przypomina zdanie Melanchtona, przyjaciela Marcina Lutra, wyrzeczone do swej własnej matki, mianowicie: "Po protestancku dobrze jest żyć, ale po katolicku dobrze jest umierać".

W przeciągu ostatnich kilku lat mieliśmy i mamy dotąd wiele przykładów, że gdzie tylko jakiego półuczonego owładnie czy to pycha, czy którykolwiek ze siedmiu grzechów głównych do tego stopnia, że mu niedogodnym jest życie po katolicku, łączy się z heretykami i arcykacerzami, usiłując jednak zachować nazwę katolika. Gdzie tylko jaka pluta lub zimolega rozpocznie reformatorskie rzemiosło za pomocą prasy, stara się przeciw wszelkim sposobom i podstępami, wybiegami i kłamstwami utrzymać koniecznie nazwę katolicką swemu piśmiǳu; usiłuje okryć je prześcieradłem lub welonem katolicyzmu, chociaż dzięki postępowi cywilizacji jest już dzisiaj lud nasz do tyle umysłowo rozwinięty, że umie na pierwszy rzut oka wyróżnić kłamstwo od prawdy, szczerłość od obłudy i umie okiem myśli zobaczyć heretyką płachtę pod katolickim welonem.

Chata pod śniegiem.

Legendę pióra Teofila Lenartowicza pod tym napisem podajemy tu poniżej Szan. Czytelnikom dla wyjaśnienia literackiego gustu i daru tego niezrównanego poety w obrazowaniu cnot ludu wiejskiego. Nie tylko w poniżej przytoczonym, lecz w każdym jego utworze poetycznym wi-
dać to samo — że umie czuć i myśleć za lud wiejski i po-
cząwszy od starca do dziecka
małoletniego odzwierciedla on
to szczerść, to ufnosć, to
niewinną wesołość, to tęskno-
tę i smutek, a zawsze miłość
ojczystej ziemi u ludu tak
wernie, iż nazwano go nie
bez przyczyny Lyrnikiem Ma-
zowieckim. Urodził się bowiem
we Warszawie, a nie na całym
Mazowszu. Ale bo też lud

wiejski nie mieszka we War-
szawie, a on właśnie pisał
wyłącznie dla ludu i jego u-
czucia obrazował. Prostota,
czyli skromne, a jasne wyra-
żenie, spokojna refleksya na-
wet w nieszczęściu, a głębokie
uczucie czy to radości, czy smu-
tku; czy litości czy żalu —
oto cechy ludu polskiego. A
z tą naturą ludu swego zgo-
dziło się w zupełności serce po-
ety. Słusznie powiedział o nim
krytyk pism jego, że u Le-
nartowicza nawet niebo przed-
stawione po ziemsku, bo uczu-
cie przywiązania do ojczystej
ziemi tak jest silne u jego lu-
du, że ten nie zdołałby nawet
pojąć nieba, zupełnie od niej
oddzielnego, lecz jest niejako
przedpokojem nieba. Po-
niższy utwór jest obrazem roz-
patrzającej, śmiercią głodową
zagrożonej rodziny góralskiej,
której chatę zasypała śnieży-
ca. Głównym zaś bohaterem
w tym obrazie jest mały chło-
peczyk, chcący poświęcić swe
życie dla ocalenia życia rodzi-
ców i rodzeństwa, jak patry-
archa Abraham syna Izaaka,
o którym słyszał wzmiankę
na kazaniu.

Był to w górach gdzie śniegi nie gi-
ną,
Bystra rzeczulka przepływa doliną,
Ponure tory czernią się w okolo,
W parowach rzeka młódz luka we-
soła,
A góry jeszcze wierzchołki i brzegi,
Przeźlornocnymi obleczone śniegi;
Aż kiedy słońce ogniste dogrzeje;
Ów śnieg w szeroką rzekę się rozleje
I lecać z góry na chaty górali,
Czasami całą osadę zawali:
Co też jednego zdarzyło się lata,
Ze się śnieżyskiem zasypała chata....
Słuchajcież tedy o nieszczęściu cze-
łeka,
A wierzcie, że jest nad ludźmi opieka.
Oto tak było, kiedy raz w dzień biały,
Góralską chatę śniegi zasypały,
Co przystawiona do skały na boku,
We mgłach zdaleka stała jak w o-
błoku,

Za którą góral szafas wybudował,
Kedy przez zimę owce swoje chował
I tak dobytek cały miał za chatą,
A w izbie wszelki był porządek za to.
Jednego razu, gdy cała czeladka:
Troje drobiarzu, stary Jan i matka,
Siedzieli w chacie obiadzszy ogni-
sko,
Huk przeraźliwy usłyszeli blisko.
Patrzył kurzawa, śniegi z góry lecał,
I naraz ciemno, tylko węgle świecą.
Wnet zrozumieli, co się z nimi stało;
Jedno i drugie rzeż zalałono:
Matko Królów! toć już pomrzeć
z głodu,

Bo do komory nie było przechodu,
Dzieci ujrzawszy, że rodzice w trwo-
dze,

W ciemności onej jęły płakać srodze,
Poczem zasnąły bracieśkie przy sio-
strze,

Jak polne kwiatki gdy się noc roz-
postrze,
Wśród dnia białego noc nastąpi cie-
luna,

I cisza taka ponura, podziemna,
Że już tam z dołu ze ślicznego świata,
Żaden najciszejszy głos ich nie dołata,
I ani widzieć, czy świt niebo krasi,
Przy którym z krzykiem wychodzią
juhasi,

Czy wschód na niebie czyli zmierzch
wieczoru,
Odkąd nie słychać dzwonienia z kla-
satoru!

Długi czas Janek co czynić, nie wie-
dział
I jak zdrętwiały przed ogniskiem sie-
dział;

Aż kiedy dzieci zbudzone na nowo,
Poczęły z płaczem kwilił mu nad
głową,

Wolając z ciemnych kątów; ojcie
chleba!

Począł, że przecie coś uczynić trzeba.
Głód matych dzieci siły mu podwoił,
Toporem ręce żyłaste uzbroidł
I drzwi wywalił i jak kopać w śniegu,
Ale się nie mógł przedostać do brzo-
gu.

Zasyпка śnieżna bez końca się zwała,
Siły ustały i ręka omładała.

Dał togie ogień zagasił na kominie,
Od tej wilgoci co ze śniegu płynie,
Topniejącego nad stromą strzechą;
I z tą wreszcie rozstali pociechą.

Nie mogąc drzwiami, wywalił okien-
ko,
I począł silnie śnieg rozgarniać ręką.
Palec zgrabiasty, nie odbił dwóch
łokci,

Kiedy krew jęła bryzgać z za pa-
znożni,
I trzeba było próżny trud odłożyć,
Za oś wieg Pan Bóg chciałby nas
umorzyć.

Tak myślał prostak i do Boga wołał,
Bo wielkich grzechów przypomnieć
nie zdołał.

Chwile jak lata, a za każdą chwilą,
Dzieci po kątach wygodnie kwilił,
Straciwszy wszelką nadzieję rodzice,
Na naleciały upadli śnieżyce,
A wtedy dzieci krzyczały ze izami:
Czyż nikt nie przyjdzie wyrwać nas
z tej jamy?

Lecz nie przynosił nikt biednym po-
mocy.

I tak siedzieli w tej okrutnej nocy,
A jednak w straszne nieszczęściu
wyrwali,

Śpiewali pieśni i nie narzekali,
"Kto się w opiekę, Panno litościwa."
A głos ich dzieci, co pokatał spały,
Budząc się płaczem rzewnym zagłu-
szały,

I tylko jedno dziecko osobiłwe,
Jako baranek siedział cierpliwe,
I samo głodne przez trzy noce długie
Uspakajało jak umiało drugie.

Lat miało trzynastoje, lecz rozum nad
lata,

Wyraźnie z nieba bo jużciż nie
z świata,

Jako ubóstwo nie chadza do szkoły,
Po gór wyznach pasąc chude woły,
Po górze dziecko co, cierpliwosć mia-
ło

I z kąta swego pieśni powtarzało.
Nareszcie przeschł ten czas i go-
dzina,

Kiedy naprawdę śmierć się przypo-
mina.

Widzący tedy że umrzeć przychodził,
Jako się dobrym chrześcianom godził,
Poklekił biedni ludzie na pacierze.
Lecz na myśl samę, że ich Bóg za-
bierze

Bez sakramentów i bez rozgrzeszenia,
Za wszystkie grzechy, wszystkie prze-
winięcia

Poczęli biadać, głowę tłuc o ścianę,
Bo chociaż wszystko Panu Bogu zna-
ne,

Ale umierać niosąc z sobą grzechy,
Bez tego słońca niebieskiej pociechy,
To już najnudniej i znów życia
szkoda,

Do serca myśli im żałosne pada.
A w tej narzekał niestannych dobie,
Gdy się już prawie widzieli przy gro-
bie,

Najstarsze dziecko jakby chcą ich
zbawić

Otarło oczy i tak jęło pisać:
"Oto widzicie ja rzecz taką czuję,
Która mnie cieszy i bardzo raduje.
Wszak pamiętacie to śliczne kazanie,
Coście mnie lataś prowadzili na nie,
O Abrahamie i o Izaaku,
Ktorego ojciec chciał poświęcić
w krzaku,

Dlatego, że Bóg żądał tej ofiary,
Chcąc wiedzieć, jeśli dobrej byli
wiary?

Otóż ja chcę być jak Izaak miał,
Żeby te dzieci pozytywienie miały
I nie krzyczały już i nie płakały,
Żebyście wy już także pozowali,
Wy, oście zawsze tacy dobrej byli,
A jak ja umrę, jak ja tę rzecz zrobię,
To umnie, do nieba Pan Bóg weźmie
sobie."

Nieszczęśliwi ludzie słysząc one słowo,
Rzewnymi łzami płakali na nowo.
Wreszcie Jan stary, wzrok utkwio-
szy w niebie,

Rzekł: "Jużciż dziecko to nie gada
z siebie,

Jest wola Boża w tem, co ono mówi,
Tedy uczynim, co Bóg postanowił."
Natenazas matka padła jak nieżywa,
I była ciska w chałupie straszliwa,

Nieprzerywana, jak ciężkiem szło-
chaniem,
Ciężkiem szlochaniem, srogim narze-
kaniem,

I tylko chłopiec z duszy czką prosta-
czą,

Słuchał zdziwiony, czego oni płaczą.
Raz jeszcze góral za oknem spróbo-
wał.

Czy śnieg nie opadł, czy się nie zlu-
zował,
Wszystkimi siły bił w te śnieżne
ściany,

Czy nie ukaże się im świt rumiany.
Ale napróżno, wtedy krzyk straszli-
wy,

Wydarł się z piersi matki nieszczę-
śliwej,

Gdy ojciec stary wiodąc wzrok zło-
wrog,

Podniósł góralski swój topór z po-
dłogi.

Ale gdy kamień do ostrza przyłożył,
Tak zadrańdł cały i tak się zatrwożył,
Że spuścił rękę i skamieniał z męki,
Bo na krew swoją nie mógł podnieść
ręki.

A chłopiec: ojciec nie bójcie się ino,
Jak ja nie zgine, toć wszyscy pogina!
Patrzcie na dzieci, na matuchę bie-
dną,

Mają umrzeć wszyscy, toć lepiej że
jedno —

A potem ja wam i tak nieprzydały,
I już jesteście na nas bardzo straszni.
Frank już dobrze na górskie polany
Z drugimi może wyganiać barany,
Izaak także grzechem się nie znał,
A szedł posłuszny, kiedy Pan Bóg
kazał,

To czemuż jabyś śmierci miał się
trwożyć,

Jakbym ja głowy też nie mógł po-
łożyć.

Ot weźcie topór przedź mój ojcień-
ku,

I pójdziecie bliżej, ja tu już przy
pieńku.....

A w tejże chwili huk się rozległ
w kolo,

Spuszczone w górę podniósł góral
czoło,

Po przemienięciu pierwszego przestra-
chu,

Gdy przychlił komot zapadłego da-
chu,

Ciekawy góral wybiegł z ciemnej
nory,

Do zawałonej śniegiem komory.
Ażowo ujrzy z serdeczną pociechą,
Że jest dzień biały nad zalaną strze-
chą,

Światło przegląda przez śnieżyce
biały

Tak, że już w kolo widzi izbę całą.
Śnieg się obrywa, pęk, a ze śniegiem
Sarenka mała, utrudzona biegiem,
W chwilę roztopa nad chałupą Ło-
mnicą

Porwana na dół z lecając śnieżyce,
Spudła przed cztęka, co jak z mar-
tywych ożył,

Jakby mu aniól baranka położył.
W radości człowiek o złem zapomina,
Tożi góralskie zbawiona rodzina
Patrzają na cudą rękę Bożej jawne,
Zapominała swe nędze niedawne,
I na sarenkę oczy się zwracały,
Poklekił starzy, dzieci poklekały,
I tylko chłopię tam nie było małe,
Jedynie w ciemnej izbie pozostałe.

Które nie wiedząc że pękła zaporą,
Jak się schyliło pod ciecie topora,
Zmęczone głodem, pokorne, cierpli-
we,

Przy onym pieńku, jak gdyby nieży-
we

Spało cichuchno, nie myśląc o zgonie,
Jakby u matki rodzonej na łonie.
Gdy go zbudzone, kiedy śród wesela
Jedno się z drugim radością obdzie-
la,

Dziecko im swoje sny opowie biogie,
Ze wo śnie widział śliczne kwiaty
mnogie,

I niby w wietrze i niby po kwiatkach,
Schodzili k'niemu jasni w jasnych
szatach;

"Otóż mnie dola była dana taka
Od Pana Boga jak dla Izaaka.
Chociaż ja przecie nie żadna osoba,
Ale Bog czyni, co mu się podoba
I kogo zechce, tego zbawić może,
I wszystko dzieje się przez rękę
Bożę."

Taka się w górach historia stała,
Z której podwójna P. Bogu chwala
Ze zbawił ludzi ode śmierci z głodu,
I stał, że pomórki biednego narodu
Coraz to jakąś sierotkę wywiedzie,
By jak gołąbek leciała na przeczcie,
Prowadząc nasze białe polskie stado,
Za świętych pańskich złocistą gro-
madą.

Z dzieła "Przysłowia
mów potocznych."

Nie Greczynowie albo Ła-
cinnicy tylko szczycić się mo-
gą języka swego ozdobami:
dodażyła dosyć dostatku słów
i wyboru własna polskiemu
językowi wymowa. Nie za-
du ten język polskiego
niedostatek, ale mówców spra-
wuje niedbałość, gdy w po-
tocznych rozmowach wyze-
branyimi u Łacinników sło-
wami nadstawiają (rzкомо)
polskiego języka niedołą albo
nazwisk właściwość łaciń-
skiem pokrywają mianowa-
niem, swoje w tem raczej
odkrywając niepochoćność we
wyrażeniu rzeczy, aniżeli
jaką mowie polskiej dodają
okrasę. Bez pochlebstwa ce-
niąc i głębiej zastanawia-
jąc się, przedź Łacinnikowi
nie wystarczy wyrazu, niżeli
Polakowi. Że wiele nie
wspomnę, bardzo się Ła-
cinnicy u Greków zadłu-
żyli, różnych w potocznej
rozmowie nazaciągawszy słów,
gdy z grecka mienią monar-
chją, aristocratia, democratia,
tyrannis, anarchia, geogra-
phia, geometria, arithmetica,
echo, tautologia, annonymus,
orthographia, scenographia i
t. p. W czem się Polak sła-
wi, gdy właściwą zaszczyca
się polszczyzną, zowiąc jedno-
władztwo, możnórządy albo
możnowładztwo, gminowładz-
two, bezprawie, bezrząd, kra-
jopisarstwo, mienictwo, ra-
chmistrzostwo, odgłos, równo-
brzmienność, bezimienny i
inne polityczne albo grama-
tyczne, prawne, tudzież filo-
zoficzne wyrazy albo terminy,
którym dość dostatecznie pol-
szczyzna dogadza. Nie czyni
tedy krzywdy Polaku polskiej
wymowie, nie pochlebja tak
bardzo mniemanej obfitości
obcego języka, abyś co uwla-
czał twojej polszczyźnie, któ-
rać tak obficie wyrazów do

wymowy dostarczy, jak sam
zechcesz albo opuścisz. Oto
masz te przysłowia na przy-
sługę polskiego języka wypisane,
polską własnością
brzmiące, uwaga głębokie.
w niewielu kartach, jako
w małej bryle funt dobrego
złota, nie ołowiu okazałe wiel-
kością cetrnary. Poznasz stąd,
że większą obydą niż ozdoba
polskiej wymowy jest, gdy ją
gestymi łacińskiej mowy na-
tykają słowami, aniżeli kie-
dyby się swą własną od-
znaczała słów wspaniałością.
Zastanów się się z uwagą: nie
tylkoć dostarczy, ale zbywać
będzie słów polskich i wyboru

Przysłowia:

Jednym praca, drugim cno-
ta, wielom szczęście daje.

Przykrzejsze lekarstwo cza-
sem, niż choroba.

Racja rozum ułagodzi, ale
nie polata szkody.

Z uczynku, nie ze słów
dobrego poznają.

Złych najbardziej cnota
kole w oczy.

Wielkie rzeki cicho płyną,
małe strumienie szumem się
po kamieniu wloką, choć nie
wiele wody.

Prawo jako pajęczyna: bąk
się przebiję, mucha ugrząźnie;
tylko ubogiemu piskorz.

Kto o kim przed tobą, pe-
wnie o tobie przed drugim.

Złotnik w cichości tysiączne
kształtuje klejnoty; u kowa-
la pełno huk, roboty za
szóstak.

Zły do urazy bierze prze-
stroję, dobry do poprawy.

Zła fortuna ma tyle dobre-
go, że rozumu nauczy, a przy-
jaciela pokaże.

Większa niewola, gdzie się
wszystko wszystkim godzi,
niżeli gdzie nie nikomu.

Nie mała mądrość — mądrze
mówić, lecz największa: mą-
drze czynić.

Gotowe nieszczęście — zła
porada.

Grający pomiesza, nie po-
może.

Bardziej się bój jednego,
kogo urazisz, niżeli się posił-
ku spodziewaj od dziesięciu,
którym dobrze uczynisz; bo
tamtę bardziej myśli o zem-
ście, niż ci o pomocy.

Chęć pożytku nie przynie-
sie, ale dobry czyn.

Chcesz być tak szczęśliwy
jak ten, co najwięcej ma? —
nie nie pragnij; jakbyś wszyst-
ko miał, kiedy więcej nie po-
trebujesz.

Inna rzecz kara, inna za-
bój albo zguba człowieka:
kara poprawę, zabój koniec
żywota przynosi; kara począ-
tkiem poprawy, zguba koń-
cem jest kary; nie śmierci
złych nam potrzeba, ale po-
rawy.

Par czasowi, kto mądrze
nim szafuje.

Bez miary lekarstwo obstoi
za truciznę.

Nie ten dobrą sprawę za-
trzymuje, kto występnych
karze, ale kto wcześniej za-
pobiega, aby nie grzeszono:
tysiąca karać niepodobna,
kiedy grzeszą; tysiąc zaś za-
trzymać podobna zrazu, aby
nie grzeszył.

Nie majątność albo intrata
czyni bogatym, ale rząd i
umiejętny rozchód.

Nie puszczać się w studnię,
aż wprzód opatrzyś, jak z niej
wyleś.

Nie będziesz miał przyja-
ciela, gdy wszystkie jego wa-
dy uważasz: nie które trzeba
przebaczyć, niektórych w nim
nie widzieć, niektóre naturze
jego darować, kiedy w czem
gruntowniejsem dobry. Pra-
wdy, a żartów jako soli uży-
waj, bo prędko przesołisz.

Opatrny wódz, jak gospo-
darz w lecie myśli o zimie,
coby jadł; w zimie myśli o
lecie, coby siał; tak tamten

Książki do nabożeństwa i różańce.



Najodpowiedniejsze prezenty dla
PRZYSTĘPUJĄCYCH DO
PIERWSZEJ KOMUNII ŚW

Mamy do sprzedania w największej ilo-
ści gatunków i cen. Na książkach
do nabożeństwa drukuje się imiona
nabywców bez osobnej pracy.

Wieniec i bukiety

na muslinie białe różę i zielone liście.

Świece do pierwszej komunii św
z ozdobami i gładkie.

Bilety do komunii św. i bierzmowania.

Stalorytowe lub litografowane po ar-
tyście niemiecku i polsku.

Sprządzający i wydajający

PRZYBORY KOŚCIELNE, STATUY, SZATY, STA-
CJE DROGI KRZYŻOWEJ, itd.

Sztandary bractw, odznaki i regalia wyrabia się na obałunek ze
kółka: zawiadomieniem.

M. H. WILTZIUS & CO., 429 E. Water ul.

Wielki wybór

sprzętów domowych znajdziecie w na-
szym składzie po cenach najumiarko-
wanszych, a mianowicie:

125 deseni karpety po cenie
od 18c za yd. do \$1.50.
40 gatunków żelaznych łoż-
ek od \$1.50 do 18.00 sztuka
75 garniturów mebli po ce-
nie od \$8.75 do \$60.00
za cały garnitur.
60 gatunków wózków po
cenie od \$3.25 do \$30.00
15 gatuaków szaf na suknie po cenie od \$5.75 do \$25.00
125 gatunków kolebaczów po cenie od 75c do \$3.00.
A nadto mnóstwo innych mebli, karpety i łożek.

R. FLECK, MEBLE, KARPETY,
POŚCIEL, KUFRY.

849—851 Kinnickinnick Ave. i 93 ul. Becher.

w pokoju wcześniej myśli o
wojnie, czembly wojował, we
wojnie myśli o pokoju. skądby
gruntowną stanowił zgodę;
nieopatrzne zaś rozumy dalej
nad dzisiaj nie sięgają.

Nie ten porządy hetman,
co występnych karze, ale ten
dobry, który tak trzyma zo-
niera, aby się uan skarżyć
nie potrzeba.

Wódz bijąc się, nie wiele
pomocze; wiele zaszkodzi, gdy
zginie: jak jeter pomoże, a
zginie jak tysiąc, w jego du-
szy wszystkich wojska dusza.